

TVzVis Niezależna Telewizja Vis á Vis



fot. B. Kucharek, G. Kozakiewicz

JEDYNA NIEZALEŻNA GAZETKA W KRAJU



numer 6 (164), Kraków, czerwiec 2022

fot. B. Kucharek



rys: Iwona Siwek-Front

Andrzej Sikorowski

OKNO NA PLANTY (118)

Anegdota

Wśród wielu anegdot dotyczących ludzi kultury i sztuki, przytoczę tę właśnie, bo stanowi wstęp do dalszej opowieści. Wiele lat temu znany polski kontrabasista Helmut Nadolski otrzymał propozycję nagrania ilustracji muzycznej. Przybył więc ze swoim okazałym instrumentem do studia, rozkazał wystartować rejestrujące dźwięk urządzenia, a sam rozpoczął samotną wędrowkę po gryfie i strunach. Grał długo, nie niepokojony przez nikogo, uchodził bowiem za artystę niepokornego, takiego który na krytykę czy uwagi może zareagować w sposób niekonwencjonalny, a obdarzony przez naturę potężną sylwetką budził zrozumiały respekt. W końcu zakończył solowy popis, spakował kontrabas i na odchodnym rzucił: "Wybierzcie sobie coś z tego".

Parę miesięcy temu spotkany w Zwisie Kazimierz Wiśniak zapytał, czy wyrażę

zgodę na Jego ilustracje do moich tekstów piosenek. Propozycja od legendarnego scenografa, malarza, grafika, współtwórcy Piwnicy była zaskakująca, ale też niezwykle miła - zgodziłem się bez zastanowienia. Oddałem w Wiśniakowe ręce gruby plik swoich rymowanek i dalej już było trochę jak w początkowej anegdocie. Wybór, układ, kształt, format, kolor przyszłego wydawnictwa zostawiłem artyście i losowi. Po prostu do momentu ukazania się książeczki nie kiwnąłem palcem, pieszcząc swoje wrodzone lenistwo. W efekcie powstał tomik "Budzi się nasze mieszkanie" z rysunkami Pana Kazimierza, który bez mego udziału czy jakichkolwiek sugestii zaproponował taką a nie inną wizję wspólnego świata. Wybrał opcję rodzinną, mieszczańską, z Krakowem w tle - tak mnie po prostu widzi. I pewnie nie pogniewa się, gdy ten wspólny drobiazg Krakowowi z okazji jego czerwcowych dni zadedykujemy.



fot: B. Zimowski



Adam Kawa

Sonety wieków ciemnych



fot. B. Kucharek

XIV

Tak trudno śmierci do ciebie dorosnąć,
czas kamienieje pod twoim spojrzeniem,
snem cienia jesteś czy tylko snu cieniem
nieskończoności wplecionej na krosno

nicości. Objąć przestrzeń pascalowską
czule jak biodra dziewczyny ramieniem,
ponad rozumu wznieść się przerażenie
ciszą, do której tak trudno dorosnąć.

W ciemnej krainie, gdzie czasu już nie ma,
gdzie kres początkiem a początek kresem,
w Anaksymandra wtulić się dylemat,

gdy w kleszczach Czarnej Dziury przestrzeń drze się.
nim eksploduje w gwiazd rozbłysku wszechświat,
z tobą pod rękę przez wrzosa, przez wrzesień.

XV

Śmiercią się karmi, Sokratesie, wszechświat.
Cnoty ateńskie poileś cykuta
swej filozofii, by pokazać uczniom,
jak w słowie zostać i w czasie przeczekać.

Śmiercią się karmi, Sokratesie, wszechświat.
Heraklitowej rzeki ciemne lustro
mgłą metafory poraża i pustką.
Jak zostać w czasie? Jak w słowie przeczekać?

Pulsuje kosmos jak chór w pieśni gospel,
znów o sekundę wszechświat się wydłużył,
z każdą sekundą zjada siebie słońce.

Życie atomem materii w podróży.
Nim wszechświat zniknie w Czarnej Dziury kropce,
po gwóźdź na krzyżu w życiu się zanurzyć.

Jan Nowicki

PRZYJACIELOWI

Przyjaźń czy miłość - pytasz przyjacielu.
Która ważniejsza i gdzie przegrać łatwiej?
Z miłością w sercu poległo już wielu,
Wplątanych w nadmiar, jak w pajęczą matnię.

Miłość to rzeka, co porywa, nęci.
Przywraca młodość, gdy zechce - postarza.
Wielbią ją w wierszach, polecają święci.
By po latach pojąć, że się tylko zdarza.

Po to, aby minąć losem wymazana.
Po to, by stać się znikającą smugą.
Na chmurze wspomnień tak kiedyś kochana.
Wczoraj była pierwszą, dziś stała się drugą.

A taka przyjaźń, mówiąc między nami,
Przy pożegnaniu nie powtarza: zostań!
Ona to cisza pomiędzy słowami.
Ona to bliskość, co składa się z rozstań.



fot. B. Kucharek

Powiadasz, że nie znasz definicji przyjaźni? Nikt jej nie zna, bo nie istnieje. Nie może istnieć. Ludzie tak sobie tylko gadają. A że czasem w snach filozofów jawi się ona jako wyższa wartość, to tylko dlatego, iż im nie wypada czegoś nie nazwać. W odwoływaniu się do własnych doświadczeń upatruję zwykle brak elegancji, ale cóż - tym razem nie mam wyjścia. W zderzeniu z miłością przyjaźń zawsze będzie górą, bo unikając zgubnych skutków namiętności, zakorzenia się mądrze w ziemi. I mimo postępującej starości, z roku na rok ubywa jej lat. Przyjaźń, gdy spotka na swej drodze inną, zamiera w zachwycie, którego nie oczekiwała, nie przewidziała. Śmieje się, obraża, próbuje imponować, odchodzi po to, by wrócić, zapomina błędy, wstydzi się własnych odczuć, uczy się i ciągle - nie wiedząc czemu - na coś czeka. Nie na dotyk ani wzajemność. Tylko żeby to coś wreszcie się zaczęło. Aby nie przekroczyć granicy, za którą miłość - poza nielicznymi wyjątkami - narażona na przemijanie. Popularne porzekadło: prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie, także ma sens tylko do pewnego stopnia. Bo jeśli naprawdę kogoś lubimy, to po co męczyć go naszą biedą, kłopotami czy nieszczęściami? Przyjaciel w nagrodę za to, że istnieje, powinien otrzymać naszą lepszą część. Prośba o współuczestniczenie w męczących problemach świadczy o słabości, której jak długo można, nie wolno bliskim okazywać. A jeśli już wpadniemy w prawdziwie głęboki dołek, przyjaciel rzeczywiście bliski i tak wyczyta to w naszych oczach. I za brak natręctwa otrzymamy nagrodę - piękne współczucie pozbawione rutyny. Pozdrawiam Drogi.

„Szczęśliwy Balagan” - wydawnictwo Oficyna Jana 2021



fot. B. Kucharek

Marek Michalak

Droga do rajy cz. 49

Droga do rajy... przez Juvenalia

Jest maj, 1979 rok. Piękna pogoda. Postanowiłem z synem podejść na łąkę za naszym osiedlem. Zaczęliśmy bawić się piłką. Nagle poczułem ostry ból w stopie. Obejrzałem miejsce i już wiedziałem, że po zabawie. Wdepąłem w tzw. „tulipana”; dno po rozbitej butelce z piwa chłonęło łapczywie jakiś czerwony płyn tryskający ze stopy. Nie tracąc zimnej krwi, próbowałem opanować sytuację. Poprosiłem jakąś młodą kobietę, aby zajęła się Marcinem. Dałem klucze od domu, podałem adres a sam, półnagi - podkoszulek stał się na ten moment opaską uciskową - pokuśtykałem do autobusu. Ktoś pomyśli - taxi, karetka. Oczywiście karetka brak, a taxi - kto wpuści do swojego auta zakrwawionego półnagusa. Dotarłem jakoś do stacji Pogotowia przy św. Łazarza. Dyżurny lekarz, „raczej wczorajszy” obejrzał ranę i podjął szybką decyzję; szyjemy. Poszło jak z płatka. Siedem szwów na żywo, bez znieczulenia miało pomóc opanować mi dosyć dramatyczną sytuację. Dostałem kule do łatwiejszego poruszania. Akurat w ten dzień mieliśmy grać koncert z JBBO podczas Juvenaliów na miasteczku AGH. Na jednej nodze odegrałem ten koncert - jakoś się udało. Najtrudniejsze czekało mnie następnego dnia. Wczesnie rano wyjazd do W-wy na lotnisko i lot do Sacramento na festiwal jazzowy. To była dla Jazz Band Ball Orchestra pierwsza podróż do USA. Na miejscu okazało się, że przez cztery dni festiwalu mamy zagrać dwanaście koncertów. Wieczorami było trochę chłodniej, ale podczas dnia w upale - ponad 30 stopni Celsjusza - pot spływający na świeże szwy łaskotał wcale nie do śmiechu. Generalnie poradziliśmy sobie chyba nieźle na tym festiwalu, zwłaszcza, że wracając do Polski wieźliśmy z sobą zaproszenie na ten festiwal na przyszły rok. Bez wątplenia koncert juvenaliowy pozwolił uwierzyć mi, że dam sobie również radę w tym „Sacramenckim Raju”.

Przed nami wakacje. Jak słyszę, wszyscy mają bogate plany wyjazdowe, od Bieszczadów po antypody. Życzę wam aby ten krótki czas wytchnienia dał wam zapomnieć o codziennych troskach i kłopotach. Polecam też lekturę urlopową naszego bywalca, Jarka Potockiego pt. „Chłopiec siedzący wysoko na drzewie z kawką na ramieniu czytający książkę”, która ukaże się na dniach. Będzie można się dzięki niej przenieść na różne kontynenty, ale też do zwisu z przed lat. AD

Jerzy Antkowiak

WIKTOR - WIKTORIA - WIKARY...



foto. B. Kucharek

Cokolwiek by to miało znaczyć, płąsy Wiktorii i Wiktora z Wikarym zaświtały mi w głowie po raz pierwszy, kiedy usłyszałem, że WIKTOR NADCIĄGA. Było to podczas MODOWEGO ODLOTU z okazji świętowania DNIA KOBIET. WIKTORA napuszczał na mnie dyrektor Opery Narodowej w Warszawie Waldemar Dąbrowski, zaś Wikarego z Wiktorią dołożyłem „do stada”, żeby było do śmiechu, a nie do westchnień i nikomu niepotrzebnych patetycznych uniesień. WIKTOR tym razem nazywa się SUPERWIKTOR SPECJALNY i spowity, czyli otulony złotą szatą jak romantyczni poeci, przypomina mi słynne metalowe dekolty YVES SAINT LAURENT'a z kolekcji lat siedemdziesiątych. Skoro ten metalowy przystojniaczek jest taki SUPERELEGANCIK - to zapewne jest najwyższą nagrodą za tak zwany „CAŁOKSZTAŁT”, a jeśli tak to są dwa wyjścia: albo wsiąść do przedziału z napisem „pora umierać”, albo do pociągu jadącego do Krakowa, Poznania, Łodzi, Warszawy, i wielu innych miast, miasteczek i siół, aby pobalować jak onegdaj. Kto mnie zna to wie, którą wersję wybieram, jeszcze nie pora na rozstania, jeszcze nie wieczór, chociaż jak zawsze pamiętajmy, „LICHONIE ŚPI”...

Ale też, kto chociaż trochę mnie zna i to trochę może brzmieć – „na sto procent” - to wie, że ciągle nekają mnie jakieś nowe, lepsze, gorsze, bywa, że idiotyczne lub nie do zrealizowania pomysły. Jak nie do zrealizowania, to tym bardziej mam ochotę udowodnić słabeuszom małej wiary, wiedzy i wyobraźni, że „niemożliwe jest możliwe”. Dużo bardziej sobie cenię taki dziwny HEPPENING sprzed lat p.t. „WARZYWNIACZEK i KWIACIARECZKA” niż słuszny zapewne i potrzebny pokaz „nowe trendy tędy i owędy” - nudny, smutny, usypiający. A skąd się w tytule spowodowanym przez tę „WIKTORIADĘ” przybliżał ów tytułowy WIKARY? Nie wiem czy ktoś się domyśla skąd, ale wiem, że na pewno poczciwy wikary jest wplątany w nieczne podejrzenia. A rzecz ma się zupełnie inaczej, żeby nie powiedzieć, czy napisać „po bożemu”. Otóż moja mama, zanim została Mistrzynią Kapelusznictwa przez wiele lat była hafciarką szat liturgicznych, ale zanim do tego doszło słowo „tamborek” - kto wie, o czym mowa to wie, a kto nie wie to nie musi, to słowo stało się symbolem, wytrychem, bywało też tak osobliwie, że najczęściej słyszany. Pamiętam w mamy zbiorach pocztówkowych taki test: „Zosiu, pisała koleżanka, tylko nie zapomnij zabrać na wyspę (Wolsztyn, jezioro Wolsztyńskie z wyspą o tajemniczej nazwie) swojego tamborka... U schyłku życia, mama, która już nigdy nie wróciła do Polski po wywóźce z powstania przez Pruszków i o dziwo mój rodzinny Wolsztyn, gdzie próbowano, ale bez szans mamę wyswobodzić z tego transportu - już będąc w Kanadzie w mieście REGINA mieszkając przy parafii haftowała pięknie szaty liturgiczne. Ten mój WIKTOR jest również holdem dla mojej utalentowanej mamy, bowiem w dniu odebrania tego trofeum odnalazłem nieznaną mi listę z lat 1944 – 1955. Wiele informacji o mamy sukcesach artystycznych przekazywał nam ksiądz, którego z tatą, tak najzwyczajniej nazywaliśmy wikarym. Stąd obok WIKTORA WIKARY i cała tajemnica wyjaśniona, mam nadzieję, że mojej niezwyklej mamie ten gest, ten ukłon, ten hołd się należał. Trzeba będzie rozsypać ten węzeł gordyjski p.t. WIKTORIA, ale proszę mi wierzyć – w y b r n i e m y. Ot, co!

WIKTOR, a zwłaszcza SUFERWIKTOR, plus WIKTORIA? A to tylko krok do słowa V I C T O R I A i naturalnie jest i WIKARY, który otwiera nam stare odrzwia pięknego pobernardyńskiego gotyckiego kościoła we WROCŁAWIU (nieopodal mojej Uczelni), w którym mieści się równie piękne jak ten gotyk MUZEUM ARCHITEKURY.

Ma to jakiś związek z pańskim WIKTOREM panie Jerzy zapyta pani, lub pan czytający naszą gazetkę. Oczywiście, że ma i to z elementem nocnego horroru. Był to początek lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. W pobernardyńskim gotyku stoi potężny wybieg dla modelek i modeli - odbywają się tam pokazy kolekcji mody, konkursy dla młodych twórców mód wszelakich, jest to duże wydarzenie, wrocławska bohema i firmy odzieżowe, wszyscy tym żyją, jest pięknie. Wśród publiczności są moi pedagodzy od ceramiki, a ja na wybiegu z kolekcją: JEDWABIE z MILANÓWKA są piękne, długonogie i urodziwe wrocławskie modelki, nasz warszawsko-modopolski desant i trochę dziewcząt i facetów „z łapanki” - wszystko to żyje, promienieje i rozsadza wybieg. Jeszcze na szczęście nie nastąpiła moda na smutne topielice idące gęsiego, które po odegraniu tego „marszu żałobnego” są zapewne pogodnymi dziewczuszkami. Którąś z Gali prowadzi debiutująca w tej roli Kasia Dowbor - to jest też kawał osobnej historii mody i pewnych obyczajów - prowadzenie Pokazu Mody to nie jest to samo, co konferansjerka do kotleta i niech dobry schabowy z kością mi wybaczy to porównanie. Wracam do tamtych pokazów, spędzamy w tej gotyckiej, muzealnej świątyni niemal dnie i noce, marzy mi się MOCNA MSZA MODY - świecki hołd dla wertykalnego północnego gotyku w południowej muzycznie oprawie, (ale nie tylko), bo również włoskiego gotyku horyzontalnego. Tytuł wieczoru brzmi - MODA i MUZYKA, muzyką rządzi jak zawsze niezawodny Tamek Butowt - rodzi się nocna premiera, zaś od Ostrowa Tumskiego wiatry szepczą przez Odrę, że w powietrzu, wisi afera, czyli to samo, co zawsze SZARGANIE ŚWIĘTOŚCI. Welury, czernie, koronki, amaranty, jedwabie i w finale anielskie biele. Muzyka to VERDI i BŁĘKITNA RAPSODIA, CESARIA EWORA i PASJA WEDŁUG ŚWIĘTEGO MATEUSZA, w finale TRAWIATA, PAWAROTTI i O SOLE MIO, a publiczność woła BIS i chce zostać do rana. Lepiej żeby nie! Rano wizyta niezapowiedziana, niespodziewana, a jednak, wyraźnie widać, że lichon nie śpi, lichon czuwa - i to jak: u wrót gotyckich, muzealnych murów stoi i czeka na wyjaśnienia, kto? WIKARYCH DWOCH!!! Wyjaśnienia zostają wyjaśnione, troska dewotek spod KRUCHTY oddalona, młodzi księża wrócę na ostrów Tumski, jako zwiastuni dobrej nowiny - bezceństwa nie było. Wikarych zaprosiliśmy na wieczorny pokaz...

Czy to nie piękna uwertura przygód, rozterek i niesamowitych uciech, których dostarczają trofea WIKTORAMI zwane, a, że z tysiąca powodów rozmnożyli się w „trójkącik” z wierszyka, który jeszcze nie powstał, ale ma już tytuł – taki jak nasz felieton.



Wikary. foto. archiwum

Mój SUPERWIKTOR mieszka sobie z CZARNĄ PANTERĄ, a także z PANIENKĄ Z WIEDNIA z majoliki, a kiedy robiłem tamten wrocławski pokaz, to WIKTOR miał latek kilka i na imię WIKTOREK i był młodszy od mojego wnuczka JULIANKA!!! Majowe felietony zawsze były pełne wspomnień, kłaniam się Czytelnikom i pozdrawiam wszystkie MAJOWE BYKI! Ole!!!

Za zgodą „Głosu Pruszkowa”

Roman Wysogład - promocja

Klub Dziennikarzy Pod Gruszką
Oraz Roman Wysogład
Zapraszają 6 czerwca 2022 roku o
godz.18.00.

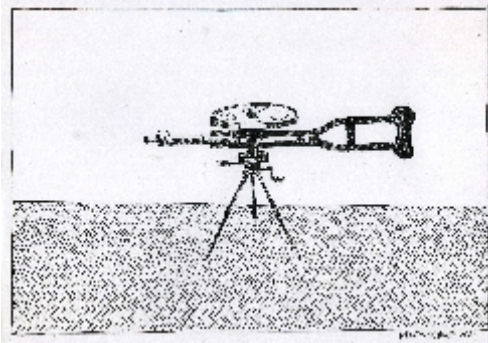
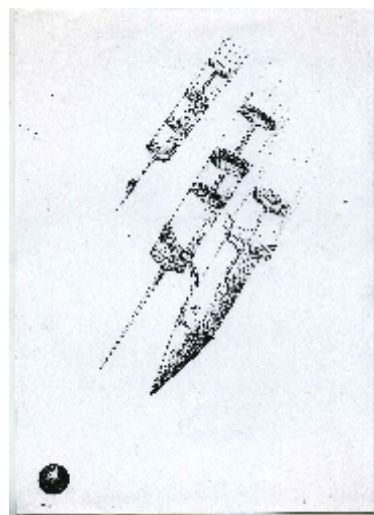
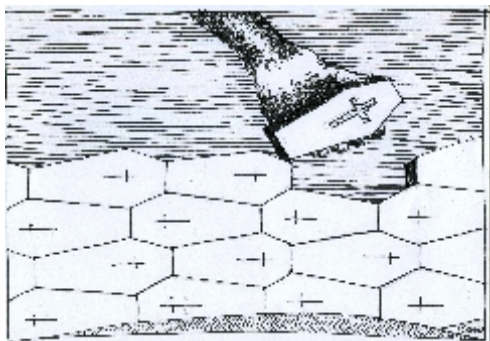
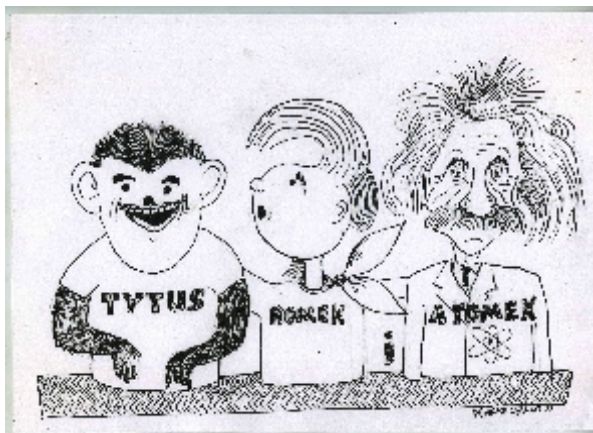
na promocję dwóch powieści:
„Chorzy na Polskę”
„34 kilometry od Pałacu Kultury”
Prowadzenie: Olgerd Dziechciarz
Czyta: Krzysztof Jędrysek



Baba lukrowana z duszą nieczystą



Henryk Cebula - grafiki:



Zasłyszane lewym uchem, czyli kronika towarzyska:



*Wieści ze Zwisu i okolic zasłyszane przez
Nadredaktora B. K.*

By podnieść popularność pisemka, jeden z byłowców zaproponował zamieszczenie na ostatniej stronie gołych lasek. Ale takich w waszym wieku - doradziła jedna z pań.

Ktoś się ostatnio wyraził, że w Zwisie obowiązuje dyskrecja. Zwis i dyskrecja!?
W maglu też podobno obowiązywała.

W naszej uroczej kawiarence pojawiła się kontrola z Ameryki.

Jeden z naszych kolegów wylądował w szpitalu. Dzięki trzymanym przez nas kciukom i młodemu, żeńskiemu personelowi placówki wrócił już do zdrowia. Szanuj je chłopie bo „Nie ma jak zdrowie, tako smakuje aż się popsuje.....”

Odbyło się kolejne spotkanie tzw. „Nocnej zmiany” i co ? I nic!. Żadnego skandalu! W ramach solidarności z Ukrainą i dońskimi kozakami wypito tylko toskańskie musujące „Prosecco” i odśpiewano „Kalinkę”. Policja i Straż Miejska nie interweniowała. I o czym tu pisać? O efektach amerykańskiej kontroli? Te będą widoczne dopiero za jakiś czas. „Lilla Weneda” też się nie pojawia więc nawet plotek z Pimiam nie znamy. CIĘŻKIE JEST ŻYCIE „NADREDA”!

Chciałem skandali i mam skandal . Zapachniało konfliktem polsko- amerykańskim z udziałem amerykańskiego obywatela (a jakże, okazał się paszportem amerykańskim), przedstawicielami sojuszniczej armii i niczego nieświadomym personelem naszej uroczej kawiarenki. Podobno sporządzone zostały stosowne notatki. Nie wyklucza się interwencji Konsulatu USA. W stan gotowości zostały postawione odpowiednie służby gotowe bronić cześci swego obywatela. Redakcja śledzi dalsze losy konfliktu.

A tymczasem nasi byłowcy śledzą uroczą, dobrze zbudowaną kelnereczkę z sąsiedniego lokalu.

Miło nam donieść, że po kolejny numer naszej gazetki stała czytelniczka przyjeżdża na rowerze aż z Kielc, a jeden chodziarz idzie po nią aż z Kaszub.

Fundusz gazetkowy wsparli: Romuald K.- 50, Zygmunt D. - 50, Marek Cz.- 50, Elżbieta SZ. z (EP) – 50, Jerzy F. - 50, Piotr M. - 50, Krzysztof J. - 50, Bywalec (zapomniałem imienia) - 50, Karol. B (z GA) - 100, Dariusz D.(z Kaszub) - 100 z IV zostało – 74 = 474 , Wydatki: znaczki - 84, druk gazetki majowej – 420 = 506

Krzysztof Miklaszewski

SPEKTAKLE, O KTÓRYCH WARTO PAMIĘTAĆ

* * *

Premiera czerwca
„DZIADY – 12 IMPROWIZACJI”
według dramatu Adama Mickiewicza
układ tekstu i reżyseria: JERZY GRZEGORZEWSKI
premiera : Stary Teatr, Kraków – 24 czerwca 1995

* * *

Nowe <Dziady> Grzegorzewskiego

Bez przedstawień Jerzego Grzegorzewskiego [1935-2005] <diamentowa kolekcja> spektakli polskiego teatru końca ubiegłego wieku była by o wiele uboższa. Ten znakomity polski reżyser, którego znaczące przedstawienia ozdobiły na trwałe historię scen nie tylko Wrocławia i Warszawy, ale – przede wszystkim – Krakowa - nie tylko zadziwiał każdym nowym projektem, nie tylko prowokował do dyskusji niezbędnej odkryciom nieustannie poszukującej sztuki teatru, ale i bulwersował swoją niepohamowaną wizją wewnętrznych przeżyć.

Jerzy Grzegorzewski – reżyser, scenograf i malarz jednocześnie - był prawdziwym poetą teatru, który – jak trafnie scharakteryzował go Piotr Gruszczyński – „był tak oderwany od szybkiego rytmu bieżących wypadków i tak wsłuchany w świat własnych wizji, że tworzył swój nowy teatr z ważnych dla niego elementów, wyjętych z ich całego kontekstu”. Znaczy to, że każdy nowy spektakl Grzegorzewskiego starał się być w erfikacją utrwalonego w tradycji obrazu.

Grzegorzewski zdawał sobie sprawę, że <weryfikować> warto tylko pozycje w sztuce znaczące i utrwalone. Stąd uporczywa i bardzo konsekwentna próba kontynuacji pionierskiego dzieła Konrada Swinarskiego, jakim dla tego teatralnego Mistrza były zmagania z dramaturgią polskiego romantyzmu.

Nie przypadkowo ta pasja zawiódła Grzegorzewskiego już w roku 1979 do „Nie-Boskiej Komедии” Zygmunta Krasieńskiego (Teatr Polski we Wrocławiu), której nowe, twórcze odczytanie przez Swinarskiego (Stary Teatr, 1965) stało się dominującym następnym inscenizacje Trzeciego Wieszcza - <kanonem> interpretacyjnym.

Następnie Grzegorzewski - już jako dyrektor scen warszawskich: Teatru Studio [1982-1992] i Teatru Narodowego [1993 -2003] - nie rezygnujący - nigdy ze współpracy z krakowskim Starym Teatrem, postanowił dwukrotnie zaryzykować <zderzenie> z legendarną, a przypominaną przeze mnie w felietonie lutowym, inscenizacją Swinarskiego z roku 1973.

Pierwsza próba - warszawska - zmierzenia się Grzegorzewskiego z <arcydramedem> Adama Mickiewicza („Dziady- Improwizacje”), która miała miejsce w Teatrze Studio (1987), przyniosła spory niedosyt wszystkim, nawet - samemu Grzegorzewskiemu. Nie mówiąc o krytykach, którzy rzucili się na inscenizatora jak ...sępy.



fot: archiwum

Próba Krakowska próba Grzegorzewskiego - w przeciwieństwie do ...wypaliła. Tak samo silnie i znacząco jak jego wrocławska inscenizacja <Nie-Boskiej>, o której pozostawiłem w czerwcu roku 1979 następujące recenzyjne świadectwo:

„Warto, ujawniając predylekcje twórcze Grzegorzewskiego, zwrócić uwagę na podstawową cechę zabiegów inscenizacyjnych reżysera, którymi zastępuje tekst, mając w oczach i uszach wielotworzywową partyturę swego przedstawienia”.

Krakowską inscenizację „Dziadów” Grzegorzewskiego zrozumiała chyba najlepiej Elżbieta Morawiec, która – po premierze – wszelkim oponentom reżysera tłumaczyła bezzasadność ich insynuacji o <harakiri> uświęconego tekstu:

„Z dramatem Mickiewicza Grzegorzewski poczyna sobie tylko pozornie jak <dekonstrukcjonista>, z tą wszakże różnicą, że dekomponowanie tekstu nigdy nie jest arbitralne, a granicę swobody wyznaczają prawa pamięci ludzkiej”

Stąd – w szokującym dla wielu widzów i krytyków – <szaleństwie> reżysera, by przestawić narzuconą w autorskim zamiarze kolejność aktów II i III - jak mawiał szekspirowski Hamlet - <jest metoda>. Okazuje się bowiem, że dzięki takiemu zabiegowi przeżycia metafizyczno-religijne Konrada mogą być zespolone z tragedią społeczno-narodową. A jednocześnie bardziej wyraziście będą „współkształtować się wzajemnie mit historyczny i przeżycie aktualne” – jak słusznie dowodziła Morawiec - „w łańcuchu pamięci zbiorowej i indywidualnej”

Dlatego też w I akcie przedstawienia Grzegorzewskiego - upozowany na Mickiewiczowskie alter ego - Konrad (Jerzy Radziwiłowicz) był najpierw tylko bardzo uważnym - jak widzowie - obserwatorem obrzędu. A kiedy już zaczął stawać się aktywnym uczestnikiem Dziadów - jego bardzo <osobiste> historie zaczęły się przeplatać z budującymi moralnie przykładami ludowych tragedii. Zwłaszcza, że materia „Dziadów części II” dostarcza wielu wewnętrznych wątpliwości co do sposobów i rozmiarów osobistego szczęścia na tym padole.

Część I krakowskiego przedstawienia nazwać można więc było nazwać – podążając tylko tropem historii Gustawa – Godziną ... Nadziei i Miłości.

Akt II widowiska Grzegorzewskiego, który Morawiec nazwała Godziną Rozpaczy – potęgował - z jednej strony - koszmar piekielnej wizji walki Konrada o własną duszę, z drugiej zaś – całemu zawartemu w nim kontekstowi politycznemu uwikłania bohatera-bojownika dolewała oliwy do ognia wstrząsająca wizja martylogiczna Pani Rollison (Małgorzata Hajewska-Krzysztofik), zakończona Sądem Bożym nad zbrodniczo-błażęńskim Senatorem (Jan Peszek). Co – najciekawsze – akt II - kończył Grzegorzewski profetycznym monologiem Zesłańca, w którego wcielił się mityczny odtwórca ról Konradowskich z inscenizacji Swinarskiego (<Dziady>, <Wyzwolenie>) – Jerzy Trela.

Wreszcie Akt III, oparty prawie całkowicie na tekście III części <Dziadów> można było nazwać Godziną Nadziei. Improwizacja i Egzorcyzmy zarysowały tu bowiem możliwość pełnego ocalenia Konrada. Dlatego to Ksiądz Piotr (Jan Frycz) sprzężony z Konradem w <jedno ciało> zastępował ukochanego przez Swinarskiego ...Belzebuba, by ostatecznie (i bardziej odpowiedzialnie) wyzwolić duszę przyszłego polskiego bohatera, a stichomythia, czyli walka sił dobrych ze złymi o duszę grzesznika, kończyła się zwycięstwem tych pierwszych.

Nad przedstawieniem Grzegorzewskiego przejść obojętnie nie było możliwe. Jego „Dziady” jątrzyły, niepokoiły, ale przede wszystkim zmuszały do myślenia. Choć nie brakowało w nich powikłań, niekonsekwencji i myślowych komplikacji. Ale sztuka teatralna Jerzego Grzegorzewskiego nigdy łatwą być nie chciała.

Lesław Pizło

Kroniki Pana Prusa



foto: B. Kańska - Bielak

Przez kilkanaście lat mieszkalem pod jednym dachem z dosyć osobliwym kotem. Miał on wieniec rozmaitych przymiotów i talentów. Między innymi lubił literaturę, a właściwie to książki. Do telewizji zraził się od momentu kiedy zobaczył na ekranie psa, a nie lubił tego gatunku organicznie. Ruszył ze zjezoną sierścią interweniować. Zajrzał z boku, z tyłu, stwierdził oszustwo i doszedł do wniosku, że telewizja kłamie i pozostał wierny literaturze. Wyglądało to tak: włożył na półkę biblioteczkę, wciskał się za książki i tam jakiś czas drzemał. Potem zrzucił jakiś tom i domagał się głośnej lektury. Wielokrotnie, przekonałem się, że jego wybory były zawsze na dobrym poziomie. Pewnego razu podsunął mi zbiór „Kronik Tygodniowych”, które pod koniec XIX w. publikował B. Prus w Kurierze Warszawskim. Z pewnym zaskoczeniem stwierdziłem, że obok stoi tom pod tym samym tytułem autorstwa A. Słonimskiego zawierający felietony publikowane w Wiadomościach Literackich w dwudziestoleciu. Pochłonąłem go równie gładko i dużą przyjemnością. Kot też nie wnosił zastrzeżeń. Pomimo osobistej niechęci do K.T. Toeplitza czytywałem jego felietony utrzymane w podobnym duchu co dwa poprzedni i spostrzegłem, że minęło stulecie, zmieniały się ustroje i władcy a problemy poruszane przez tych panów jak były tak są. Jedne trwają niewzruszone jak piramidy inne się umacniają. Odporne na krytykę i połajanki. Słonimski w latach 30-tych przestrzegał przed zbyt pochopnym stawianiem pomników niektórym postaciom. Takim niezwyfikowanym przez czas i historię. Gdzie po krótkim okresie spoglądania na świat z wyżyn pomnikowego cokołu, święty okazuje się pospolitym grzesznikiem, niedawny bohater narodowy zwykłym łajdakiem a wielki wizjoner sprytnym manipulantem. 50 lat wcześniej Prus pokpiwał sobie z dziwnego, Jego zdaniem, zwyczaju honorowania różnych zasłużonych „chrzcząc” ulice i place ich imieniem.

Ten głupi proceder ma się bardzo dobrze do dziś. Jedna z ulic w Krakowie jak powstała nazwano ją Podwale. No bo biegła wzdłuż dawnego wału obronnego. Potem została ul. Kolejową bo prowadziła do dworca. Następnie została poświęcona A. Potockiemu, bo zasługiwał. Za okupacji przestał zasługiwać więc nazwano ją Ostrinę, żeby po wojnie została ulicą J. Stalina. A gdy ten okazał się wybitnym zbrodniarzem a nie słońcem narodów, została się jako ul. Westerplatte. Trochę dziwacznie ale niech tam. Elementarny rozsądek mówi, że nazwa ulicy służyć ma orientacji. Winna być w miarę krótka i łatwa w pisowni. A w naszym kochanym Krakowie mamy takie perełki: ul. Do Sanktuarium Bożego Miłosierdzia. Albo al. Kasy Oszczędności Miasta Krakowa. Ul. Dominika Żdziebły-Danowskiego, też niczego sobie, szczególnie dla obcokrajowca. W zwięzłości nazwy skwer Drugiego Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie jest nie do pobicia. Życzę szczęścia każdemu, kto zmieści jedną z tych nazw w urzędowym formularzu z krótkimi literami. Mamy też ulice Smolarzy, Smolenia, Smoleńsk, Smoleńskiego, Smolki i Smolną. Pomyłka czai się przy każdej z nich. Jest ul. Legionów i Legionów Józefa Piłsudskiego. Jest ul. Powstańców i ul. Powstańców Śląskich a na dodatek ul. Powstańców Wielkopolskich. Mamy ul. Zaułek i

niezależnie Zaułek Jugowicki i Zaułek Wileński. Ul. Ptaka i Ptasia. Obok ulicy Żeleńskiego jest ul. Zielińskiego. Nie wiadomo którego bo nazwisko popularne i kilku generałów je nosiło.

Nie mam wielkiej nadziei na pozytywne zmiany w tym obszarze, gdyż zajmuje się tym specjalna komisja. Wszyscy zaś doskonale wiedzą, że żadna komisja, na całym świecie jeszcze nigdy niczego nie załatwiła i za nic nie odpowiada. A prawo Parkinsona działa w takich razach bez zarzutu. Nie jestem optymistą w kwestii triumfu zdrowego rozsądku i zmiany na lepsze, ale trzymajmy się jej. Tej nadziei.

Andrzej Wyrobiec

W Polskę idziemy...



Rzecz wesoła i pełna przyjemności przed Wami. I nie myślę o nadchodzącej kanikule, tylko o premierze w Teatrze Bagatela. Tę wesołość przyniosą „Pijacy” Franciszka Bohomolca w reżyserii – jakże krakowskiego, choć pochodzącego z Limanowej – Artura „Barona” Więcka. A skoro „Baron” bierze się za tekst jezuitę, można się domyślić, że nie czeka nas bryk z oświecenia, tylko bardzo współczesna i dowcipna opowieść o ulubionym, zasugerowanym tytułem, sposobie spędzania wolnego czasu przez Polaków.

Pewna cecha osobnicza naszego dumnego narodu, który unosi się zawsze z jakichś kolan, to nadużywanie napojów procentowych. Kiedy to już **MY**, potomkowie mitycznego Piasta, użyjemy alkoholu, włączamy magiczne myślenie o naszej narodowej wyjątkowości. U Bohomolca manifestuje się to między innymi taką oto frazą:

Cudzoziemiec, a szlachcic! Jakże tam ich szlachectwo, chłopie wszystko! W Niemczech same Szwabry, w Czechach piwowary, we Francji kucharze... Polskie szlachectwo grunt, to prawdziwe szlachectwo!

Słowa Pijakiewicza, jednego z bohaterów komedii, jak padły 300 lat temu na podatny grunt zakompleksionych umysłów, tak się zakorzeniły, że mają się wyśmienicie także w obecnych czasach internetowych tiktoków i elektrycznych samochodów. I o tym również jest nasz spektakl. O narodowym poczuciu wyjątkowości, o ksenofobii i przekonaniu o tolerancji cechującej naszą nację.

Święty Wojciech cudzoziemiec, cha, cha! Święty a cudzoziemiec, no pięknie! Cudzoziemcy tu wiarę wprowadzili! Co za bluźnierstwo! Nie masz w świecie większej i lepszej wiary od naszej, polskiej, katolickiej!

Artur Więcek do tekstu Bohomolca włączył co smakowitsze, wręcz kultowe fragmenty literatury, które wyszły spod piór tęgich znawców przedmiotu alkoholowego, czyli Wieniedikta Jerofiejewa i Jerzego Pilcha. Ponadto w spektaklu usłyszycie parę świetnych piosenek, bynajmniej nie biesiadnych, które udatnie pointują akcję sceniczną. To wszystko sprawia, że klasyczni „Pijacy” stają się bardzo aktualną komedią.

Do tego wieloobsadowego spektaklu scenografię zaprojektował Łukasz Błażejewski, kostiumy Dorota Roqueplo, a za choreografię odpowiada Maćko Prusak. Premiera 18 czerwca 2022 r.



fot. B. Kucharek

Adam Komorowski

Aktor, czyli Jerzy Trela

W odróżnieniu od niektórych bywalców Zwisu nie należałem do osób pozostających w bliskiej zażyłości z Jerzym Trełą. Zналиśmy się od półwiecza, ale byłem jedynie przyjacielem jego przyjaciół. A jednak jego milcząca obecność była dla mnie ważna.

Ileć się znalazłem w jego towarzystwie

miałem poczucie, że dotyka mnie mnie jakiś zapoznany wymiar rzeczywistości, istnienia.

Jerzy był aktorem, ale jego aktorstwa nie da się sprowadzić do niekwestionowanego talentu czy mistrzowskiego opanowania rzemiosła. Miało ono wymiar metafizyczny i uchylało prześwit transcendencji. W dużym skrócie można powiedzieć, że otwierało nas na zapoznane wymiary naszego przebywania na ziemi. Dzięki Treli przypominaliśmy sobie, że nasze poszczególne istnienie zawiera w sobie miriady istnień przeszłych, przyszłych i możliwych. To, co u nas zwykłych ludzi jest wyparte i zamazane dzięki Treli ożywało. Tajemnica istnień poszczególnych, by przywołać Witkacego, odzyskiwała wielowymiarowość.

Dzięki Treli uświadamialiśmy sobie, że nasze życiowe role, które wybraliśmy lub które zostały nam narzucone, są *de facto* pozorem i nasza tożsamość nie daje się do nich sprowadzić. Trela nieustannie przypominał nam jak marnymi jesteśmy aktorami w ostentacji naszej wyjątkowości. Ponieważ czynił to dyskretnie i bez dydaktycznego patosu jakoś znosiliśmy jego mistrzowskie lekcje jak być sobą bez udawania.

Wielki paradoks aktorstwa Treli polega na tym, że zawieszało amatorszczyznę codziennego aktorstwa tych, którzy widzieli go na scenie. W pewnym sensie można powiedzieć, że aktorstwo Treli podważało możliwość aktorstwa poza sceną i było wezwaniem do autentyczności w życiu. Jednocześnie przypominało nam, że przynajmniej do kiedy żyjemy, wybór czy zmiana roli jest kwestią otwartą, a nasze istnienie jest wielowymiarowe.

Ta wielowymiarowość naszego ograniczonego rolą istnienia jest związana z istnieniami innych. Ale jest jeszcze jeden aspekt wielowymiarowości istnienia, to powtórzenie. „Powtórzenie” jest kluczowym pojęciem filozofii Sorena Kierkegaarda. Wisława Szymborska napisała „Nic dwa razy się nie zdarza”, ale...

Trela ma w dorobku role filmowe ale jego żywiołem był teatr. Teatr zakłada możliwość powtórzenia roli. Jerzy Trela był wirtuozem powtórzenia. Swoją sztuką dowodził możliwości powtórzenia, powtórki. A jeśli powtórzenie jest możliwe to, być może, zmartwychwstanie nie jest tylko fantasmagorią i wszyscy musimy liczyć się z tym, że czeka nas powtórka.

Jerzy Trela był aktorem eschatologicznym. To wyjątkowe ale zdarzają się tacy. Mieliliśmy sporo szczęścia, że ponad pół towarzyszył nam swoją obecnością pokazując, że możliwości powtórzenia całkowicie wykluczyć nie można.



Jerzy Trela

Dnia 15 maja zmarł Jerzy Trela. Wybitny aktor teatralny, filmowy i telewizyjny, oraz pedagog, profesor sztuk teatralnych, poseł na Sejm PRL IX kadencji. Stworzył wiele wybitnych kreacji teatralnych, zarówno epizodycznych, jak i pierwszoplanowych, współpracując z takimi twórcami, jak Jerzy Jarocki, Andrzej Wajda, Konrad Swinarski, Kazimierz Kutz czy Krystian Lupa.

Jubileusz Agnieszki Chrzanowskiej

Na kulturalnej mapie Lanckorony pojawiło się nowe magiczne miejsce - „Dwór Lanckorona”. We wspaniale odrestaurowanych wnętrzach objawiła się też magia głosu i osobowości Agnieszki Chrzanowskiej. W trakcie brawurowego wystąpienia artystka zaprezentowała przekrój repertuaru z ostatnich 25 lat ubarwiony opowieściami z życia artystycznego i osobistego. Wspaniała atmosfera, gościnni gospodarze, niezapomniane wrażenia.

Andrzej Dyga



fot. archiwum

Ladislav Volko

Liścik z Bratysławy nr: 90



foto: N. Pazdej

Ó...rany...to już 90-ty liścik. Co zrobić

z tym czasem, kiedy tak pędzi ... zatrzymać go nie sposób, chociaż zapisem zaznaczyć jego galop. Bo co innego jest właściwie nasze pisemko? Taka mała próba odzwierciedlenia naszego czasu, w wypadku mojego liściku – mojego czasu.

Miejscami gdzie również dochodzi do konfrontacji z czasem są na przykład kawiarnie, herbaciarnie, piwiarnie, winiarnie, w Bratysławie i w okolicach *viechy (typova viniarnia)* – wszystko to miejsca spotkań i pogawędek bliskich nam osób...nieraz przypadkowo napotkanych. Ostatnio wzrosło zainteresowanie historią „małych ojczyzn“ jak również miejscowych spotkań – jak to było, co zostało z tych spotkań, kto, gdzie co i jak...Bratysława zawsze patrzyła na bliskie stolice – Wiedeń i Budapeszt, po powstaniu Pierwszej Republiki Czechosłowackiej w 1918 roku na Pragę. Wpływy austro-węgierskie zbliżały Pressburg, Poszony – jak nazywano Bratysławę w owych czasach, z Krakowem. Te wpływy są wydoczne do tej pory. Bardzo aktywne Wydawnictwo Marenčin PT między innymi, założyło *Edycje Bratislava – Pressburg* w której publikuje książki dotyczące multietnicznej i multikulturowej Bratysławy. Inspiracja wyszła od Selmy Steinerovej, właścicielki bratysławskiego antykwariatu założonego przez rodzinę Steinerów w 1847 roku, który istnieje do tej pory. W edycji założonej w 2002 roku wydano około 200 publikacji w bardzo dobrym opracowaniu graficznym, pełne autentycznych fotografii. Oprócz współczesnych autorów wydano na przykład dzieła historyka węgierskiego obywatela Bratysławy, Tivadara Ortvoja (1843 – 1916) i Niemca Karla Benyovszkiego (1886 – 1962). Wydano również trzy książki dotyczące kawiarni naszego miasta: *Bratysławskie kawiarnie i viechy* (2006) autora Petra Salnera i *Kawiarnie, karczmy i winiarnie w Bratysławie 1960 – 1989* (2020) Juraja Šebo. Trzecią książką, jest książka o królowej między kawiarniami w naszym grodzie *Kawiarnia Štefánka* (2021), która się mieści koło Pałacu prezydenta. Od roku 1897 z krótkimi przerwami istnieje do tej pory. Tutaj powstało mnóstwo dzieł literackich i artystycznych, bowiem od początku jej istnienia przychodzili tutaj literaci, dziennikarze, intelektualiści, bohema, artyści różnej maści. Bardzo popularną powieść *Czachcicka pani* (chyba była przetłumaczona na polski) napisał *Jozef Nižnanský* właśnie tutaj. Świetny poeta *Ján Smrek* miał tutaj redakcję literackiej revue *Elán*. Przychodzili tutaj całe generacje poetów – Emil Boleslav Lukáč, Štefan Žáry, Pavol Horov, Miroslav Válek, Grupa trnawska: Ján Stacho, Jozef Mihalkovič, Ján Ondruš, Ľubomír Feldek. Nie sposób wymienić wszystkich – trzeba przeczytać książkę.

Galeria Vis á Vis:

Andrzej Kobos - wystawa fotografii

Na wystawie zaprezentowałem archiwalne fotografie przedstawiające artystów Piwnicy pod Baranami występujących w tym kabarecie w latach 1960 do 1970.

Plonem tych lat było około 200 zdjęć (wybranych z chyba 1000) robionych głównie ze sceny, na żywo podczas programów, bez lampy błyskowej, jedynie przy współpracy Bogusia Sloty, który obsługując reflektor, dawał więcej światła na mój znak ręką.

Andrzej M. Kobos





fot. B. Zimowski

Andrzej Matusiak MÓJ DAWNY KRAKÓW MIASTO, LUDZIE, WYDARZENIA na starej pocztówce i fotografii oraz wspomnieniach” (108)

Katedra Wawelska cz. 6

Otoczające nawę główną katedry **19 kaplic**, budowane od jej powstania na przestrzeni wieków, były często przebudowywane, mniej lub bardziej zachowując i zmieniając swój wygląd oraz wyposażenie w kolejnych stylach architektonicznych od gotyku przez renesans, barok i kolejne. W czasie swojego panowania, król **Kazimierz IV Jagiellończyk (1427 – 1492)** ufundował powstałą w latach 1476 – 1477, gotycką **kaplicę p.w. Świętego Krzyża i Ducha Świętego zwaną Świętokrzyską** jak i też **Jagiellońską**, jako miejsce grobu swego i swojej żony królowej **Elżbiety Rakuszanki z Habsburgów**. Kaplica ma iście królewski bogaty wystrój i wyposażenie. Na ścianach znajdują się polichromie malowane przez ruskich malarzy, dopełniające gotycką ostrołukową architekturę sklepienia. Tumbowo – baldachimowy nagrobek króla jest symbolicznym grobem – *kenotafium*, gdyż ciało pochowano pod posadzką. Jest on dziełem **Wita Stwosza**, który wyrzeźbił go z czerwonego marmuru salzburskiego z pomocą **Jorga Hubera z Passawy** i stanowi wybitne późnogotyckie dzieło. Niestety nagrobek królowej Elżbiety się nie zachował. Na płycie wierzchniej tumbi przedstawiono naturalnej wielkości postać króla w koronacyjnym stroju z insygniami. Boki tumbi są bogato rzeźbione z przedstawieniem postaci - płaczków prezentujących poszczególne stany – duchowny (możnowładczy), rycerski, mieszczański i chłopski z herbami Polski, Litwy i ziem polskich. Baldachim wsparty jest na 8 kolumnach, mającymi atrakcyjnie rzeźbione kapitele przedstawiające sceny ze Starego i Nowego Testamentu. W kaplicy znajdują się *stalle* i dwa *tryptyki oltarzowe* z 2 poł. XV w. tj. **Matki Bożej Bolesnej i Świętej Trójcy** wykonane przez krakowskich twórców. Ok. 1790 r. umieszczono tutaj nagrobek biskupa kijowskiego i krakowskiego **Kajetana Ignacego Sołtyka (1715-1788)**. Witraże nawiązujące do nazwy kaplicy i przedstawiające historię **św. Krzyża**, zaprojektował znakomity malarz **Józef Mehoffer**, a wykonane zostały w 1905 roku przez **Sławomira Odrzywolskiego**. W **maju 1973 r.** otwarto grób Króla Kazimierza Jagiellończyka i z tą chwilą zadziała „*klątwa Jagiellończyka*”, która stała się sensacją i została opisana przez znanego dziennikarza i literata **Zbigniewa Święcha** w serii książek „*Kłątwy, mikroby i uczeni*”, którego w 1920 roku uhonorowano **Nagrodam Miasta Krakowa**.

Kaplica Świętokrzyska mal. S.Tondos i W.Kossak 1910 r.)



Andrzej Pacuła

Król Midas



fot. B. Kucharek

Wędrowali zawsze we dwóch: niewidomy poeta i skryba. Kiedy poetę ogarniał dionizyjski trans, wyrzucał z siebie tysiące słów, które skryba układał w pieśni i zapisywał na glinianych tabliczkach. Pewnego dnia przywędrowali do pałacu króla Midasa. Być może skryba z własnej woli i nieco podstępnie zwabił tam poetę, skuszony bogactwami, które rozdawał złoty król. Midas słyszał o niewidomym poecie i pragnął go poznać. Przyjął go więc z honorami w sali tronowej, jak wszystko w tym pałacu - ze złota. Pod ścianami siedzieli w trzech rzędach lśniący złotem dworzanie, na wielkim tronie złożył się Midas, a za nim jego trzysta złotych żon, oprawionych w najcenniejsze diamenty i szmaragdy. Pośrodku komnaty ustawiono kamienny stół z granitu i dwa zydle, których Midas jeszcze nie dotknął i też nigdy nie zamierzał dotykać. Poeta i skryba usiedli. Ani oni, ani kamienny stół i drewniane zydle nie byli ze złota, ani nawet nim poproszone. Heroldowie odegrali hymn królestwa, złote nutki opadły na kamienną posadzkę i Król Midas dała znak do słuchania. Poeta milczał, a skryba śpiewnym głosem odczytywał z glinianych tabliczek kolejne pieśni poematu o wojnie bogów, ludzi i żywiołów. Rósł stos glinianych tabliczek na kamiennym stole. Król siedział zaszuchany i złotymi palcami gładził złotą brodę. Złota cisza wypełniała złotą przestrzeń. Od czasu do czasu z dźwięcznym głosem skryby zlewały się szepty dworzan, komentujących śmierć Hektora, z rąk Achilla, niekiedy słodkie wzdychania trzystu żon, gdy poeta opiewał urodę Parysa i boskiej Heleny. Kiedy skryba skończył czytać (poeta zdawał się drzemać) król długą chwilę milczał, po czym, czego nigdy wcześniej nie czynił, wstał i z szacunkiem podziękował wielkiemu poecie za, jak się wyraził, dar cenniejszy niż złoto. Wyzaczył też poecie dożywotnią pensję, a skrybie nakazał dać tyle złota, ile zdoła unieść. Przebudzony poeta podniósł głowę, skierował nieme oczodoły w stronę królewskiego głosu i zapytał czym może za tak hojny dar podziękować? Pragnę - odrzekł Midas - zatrzymać na pamiątkę jedną glinianą tabliczkę z twoimi nieśmiertelnymi słowy. Poeta skinął głową i przesunawszy palcami po kilku tabliczkach jedną z nich odłożył na bok. Była to VII pieśń nieśmiertelnego poematu. Nazajutrz ruszyli w swoją drogę. Poeta w milczeniu, a skryba rozmarzony widokiem worków złota, które dźwigał na plecach i rozmyślał o czekających go luksusach. Nie minęło kilka dni i król zatęsknił za poetą. Codziennie odwiedzał salę tronową Przystawał przy kamiennym stole i napawał się myślą, że oto spogląda na dzieło nieśmiertelne. I że to jedyny fragment jego świata, którego nie zmienił w złoto. Ale pewnego dnia, wiedziony zachwytem, zapomniał o swej strasznej mocy i wziął tabliczkę do ręki. Zaczął wodzić opuszką palca po wrytych w glinie nieśmiertelnych słowach, aż ocknął się przerażony. - Cóż czynię! - złote palce Midasa puściły tabliczkę, która spadła na kamienny stół. Ale nic się nie stało. Ani nie pękła, ani nie zamieniła się w złoto.



fot. B. Zimowski

Roman Wysogład

Kilka myśli, które „przyszły do tak zwanej głowy” po obejrzeniu wystawy prac Henryka Tomasza Kaisera zatytułowanej „10”, a prezentowanej w Galerii Miko, KMF przy ulicy Mikołajskiej 2 w Krakowie w dniach 6 maja – 2 czerwca 2020 roku.

Genialny Anglik Stephen Hawking przewidywał koniec świata na rok około 2600, a odkąd istnieje tak zwana sztuka, w każdej jej epoce pojawiali się „myśliciele” wieszczący jej rychły koniec, upadek, degrengoladę i co tam jeszcze potrafili wymyślić.

Wszystko to oczywiście co najwyżej spekulacje, z których nic – poza przerażaniem większej ziemskiej populacji – nie

wynika. Co to napisane przeze mnie powyżej ma wspólnego z pracami wystawianymi przez H.T. Kaisera? Oczywiście niewiele, ponieważ jest tych „rozważań” kompletnym zaprzeczeniem.

Z powodu jak najbardziej prostego: sztuka żyje i ma się całkiem nieźle przynajmniej w wersji proponowanej przez Kaisera, oraz w odniesieniu do. No właśnie do czego?

Pierwsze moje wrażenie było dla mnie szokujące. Mam do czynienia z malarstwem, a nie z fotografią! Tak niesamowicie „potrafił” artysta opanować technikę, iż dałem się nabrać – jak już wyżej nadmieniałem – iż mam do czynienia z malarstwem.

Zresztą nie ma dla mnie większego znaczenia, malarstwo czy fotografia. Liczy się wyłącznie efekt końcowy, a ten jest dla mnie jednoznaczny. Coś niesamowicie wspaniałego. Jak w znakomicie wydanym katalogu pani Elżbieta Lech była uprzejma napisać: „*Twórca wystawy przedstawia osobistą interpretację dziesięciu przykazań: przewodnika, który w coraz szerzej zlaicyzowanym społeczeństwie jest drogowskazem, pozwalającym znaleźć właściwy kierunek, a dla innych szeregiem zakazów i ograniczeń. W swojej zaskakującej wizji biblijnego kodeksu, traktując jego przesłanie jako integralny element naszej kultury, autor uwzględnia cywilizacyjny postęp, aktualne uwarunkowania życiowe oraz zróżnicowanie społeczeństw*”. I tak dalej. Osobiście nie cierpię tak zwanych wstępów do katalogów, ponieważ każdy ze zwiedzających widzi – i rozumie – zupełnie co innego.

Ja, tak zwyczajnie jak na szeregowego „odbiorcę sztuki” przystało w pracach Kaisera dostrzegłem niesamowitą sprawność techniczną, plus tylko Jemu dany dar interpretowania otaczającej Go rzeczywistości. I nie ma dla mnie kompletnie żadnego znaczenia, czy motywem przewodnim wystawy jest Biblia, czy książka telefoniczna. Najważniejsze, jak to jest wykonane.

W przypadku Henryka Tomasza Kaisera najwyższe mistrzostwo świata oraz metafizyka będąca najważniejszą – przynajmniej dla mnie – częścią „duszy artysty”.

Serdeczne gratulacje, oraz zapraszam wszystkich „myślących” do obejrzenia tej niezwykłej wystawy.



Poza ZVIS'em:

Henryk Tomasz Kaiser: „10” - wystawa fotografii

1



2



4



7



10



6



Krakowskie Forum Kultury - Galeria „Miko”, ul. Mikołajska 2 (Mały Rynek)

Gazetka Vis a Vis:

Copyright reserved by Bogusław Kucharek.

Wszystkie materiały publikowane są za zgodą autorów



wstępniak: Andrzej Dyga
materiały: Bogusław Kucharek,
skład i współpraca: Bogdan Zimowski
korekta: Zbigniew Bajka
sekretarz redakcji: Magda Konopska

Kontakt: Półeczka Vis a Vis,
www.zvis.pl
zvisrynek@gmail.com

